



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Henryk Świdorski

## Mój dziecienny żywot w czasie II wojny światowej. Wspomnienia z rodzinnego Szczuczyna

Zapominam o tym, co się wydarzyło dziś lub w jakiej sytuacji się znalazłem – ale nie mogę się wyzwolić z czasów wojny i okupacji, zapomnieć wydarzeń, których sam doznałem lub byłem świadkiem bądź słuchaczem opowiadań osób starszych. Mówi się, że strach ma wielkie oczy i dobry słuch. Ja do tego dodam, że przeżyty strach pozostaje długo w pamięci, zwłaszcza strach zakodowany w umyśle ludzkim w okresie dzieciństwa. Niektórzy z mojego otoczenia twierdzili odwrotnie. Powiadają byłeś dzieckiem. Nic nie rozumiałeś. Nic nie pamiętałeś, a tylko zmyślasz. Otóż to nie jest prawdą.

Podstawowymi moimi zabawkami, jako chłopca okresu wojennego, była tzw. proca, albo prowizoryczny łuk i strzały wykonane z różg różnych drzew, piłka szmaciana lub z włosia końskiego, gra w guziki, wspinaczka na drzewa, prymitywnie wykonane słupełazy, sanki i łyżwy oraz narty wykonane z drewna przez dziadka lub ojca oraz inne nieznanne dziś akcesoria zabawkowe służące mnie i moim kolegom do zajęcia czasu. Z zainteresowaniem też śledziłem zabawy dziewcząt – zwłaszcza grę w klasy, kółko graniaste itp.

Podczas takich zabaw dochodziło często do okaleczeń. Do najbardziej tragicznej i tragicznie zakończonej zabawy zaliczam zabawę granatem wojskowym. W wyniku wybuchu tego granatu podczas zabawy nastąpiło urwanie trzech palców prawej ręki u kolegi Heńka Muczyńskiego, który z pola zabawy o własnych siłach biegł do szpitala, wołając po drodze z rozpaczą: „A czym ja teraz będę jadł!” To było ogromne przeżycie dla mnie i dla nas wszystkich, będących świadkami tego wydarzenia.

Broń palna w ostatnich dniach wojny była dostępna dla każdego. Ja też zabawiałem się bronią przechowywaną w byłej lisiej jamie w lesie „Lisie góry” – tam przechowywałem swój pistolet, który odziedziczyłem po „lekarce” z rosyjskiego wojska.

Głód dotyczył, w okresie wojennym, mnie i wiele innych dzieci. W mojej siedmiodzietnej rodzinie, dodatkowo z dziadkiem i babcią, trudno było utrzymać się z 4 hektarowego gospodarstwa rolnego. Moim najczęstszym artykułem spożywczym w okresie trwania wojny, ale i przed wojną w niektórych okresach życia, było mleko odtłuszczone w mleczarni i gotowane ziemniaki, kapusta z ziemniakami w różnych postaciach, zupa z brukwi, zupa szczawiowa, chleb (częstokroć ograniczany) z mąki uzyskiwanej w wyniku zmielenia ziaren żyta we własnych żarnach. Potrawy mięsne w wydzielonych porcjach jadłem wraz z rodzeństwem w niedzielę i dni świąteczne.

Chleba nie wolno było mi i mojemu rodzeństwu jeść świeżego. Chleb musiał dobrze się wystudzić. Trwało to około 1-2 dni. Później dowiedziałem się o tym, że chleba świeżego je się więcej niż czerstwego.

Nawet kawę zbożową uprażoną w piekarniku z ziarnem jęczmienia ja i moje rodzeństwo – a także inni członkowie rodziny – piliśmy bez cukru, chyba że ktoś chorował – to dostawał kawę z cukrem. Sacharyna w okresie mojego dzieciństwa była namiastką cukru, ale też w ograniczonych ilościach.

W okresie wojennym jedynymi środkami leczniczymi dostępnymi dla niebogatych rodzin były tylko jodyna i terpentyna. Tymi lekami opatrywano wszelkie moje rany jakie wynikały z urazów podczas wykonywania pracy bądź niebezpiecznych zabaw (z procy kolega strzelił kamieniem w policzek pod lewym okiem – do dziś pozostał ślad tego urazu).

W tym wojennym okresie nie znałem żadnych środków leczniczych łagodzących ból. Głęboko przeżyłem amputację kończyny dolnej pana Stanisława Malinowskiego, uszkodzonej w czasie bombardowania miasta przez wojska rosyjskie w ostatnich dniach wojny. Jego jęki bólu dochodzące z sali operacyjnej szpitala dolatywały aż na nasze podwórko i ja to słyszałem. Do dziś w uszach moich brzmią te jęki.

W okresie okupacji chorowałem na tyfus i bardzo często dotykała mnie dyzenteria (prawdopodobnie od jedzenia jeszcze nie w pełni dojrzałych i niemytych gruszek tzw. ulegałek i innej zieleni zebranej z pól i pastwisk – szczaw – i od razu konsumowanej bez uprzedniego mycia). Nie uchroniłem się też przed chorobą zwaną świerzbem. Zaraziła mnie tą chorobą wspomniana wcześniej „lekarka” wojska sowieckiego w dniach 21-23 stycznia 1945 roku, a więc w pierwszych dniach wkroczenia wojska sowieckiego do Szczuczyna i opuszczenia go przez wojska niemieckie.

W okresie II wojny światowej zapadłem na gruźlicę płuc, co potwierdziła próba tuberkulinowa, przeprowadzona tuż po zakończeniu działań wojennych przez Duński Czerwony Krzyż (na zlecenie lub staraniem organizacyjnym pierwszego powojennego burmistrza miasta pana Marcinkiewicza – ojca słynnego piłkarskiego klubu sportowego „Wissa” i mojego późniejszego kolegi szkolnego Stefana Marcinkiewicza, chociaż o 5-6 lat starszego ode mnie. Razem ukończyliśmy naukę w Publicznej Szkole Zawodowej – Wydział Administracyjno-Handlowy w Szczuczynie). Objawy gruźlicy ujawniły się w ostrej postaci w roku 1952 – skutki tej choroby odczuwam do dziś. Proces leczenia trwał kilka lat.

W czasie II wojny światowej Szczuczyn poniósł wielkie straty. Przed wojną miasto liczyło ponad 7 tysięcy mieszkańców, a w pierwszych dniach roku 1945 – tylko 2479. Budynki zostały zniszczone podczas bombardowań i ostrzałów artyleryjskich, a także pożarów, które powstawały w czasie bombardowań – a ja byłem świadkiem tych wydarzeń.

W pierwszych dniach po wybuchu wojny dochodziło do lokalnych potyczek 9 pułku Strzelców Konnych z Grajewa z wojskami niemieckimi, które cały czas patrolowały tereny przygraniczne między innymi w okolicach Szczuczyna. Potyczki te przeżywałem od 1 do 7 września 1939 roku, były postrachem dla mnie i innej dziatwy Szczuczyna. 7 września 1939 roku wojska polskie wycofały się, a miasto przeszło we władanie wojsk niemieckich i władzy okupacyjnej. Tym razem okupacja niemiecka nie trwała zbyt długo, bo już 29 września 1939 roku na podstawie linii demarkacyjnej wytyczonej przez Niemcy i ZSRR na teren Szczuczyna wkroczyły wojska bolszewickie. Jednak okupant hitlerowski powrócił tu raz jeszcze w dniu 23 czerwca 1941 roku i pozostał aż do dnia 23 stycznia 1945 roku. W tym czasie zacząłem się jękać i tą „jąkałą” byłem przez cały czas okresu wojennego i kilka lat po zakończeniu wojny.

To jękanie to wynik przeżytych strachów, jakie prawie każdego dnia przeżywałem w czasie wojny i okupacji. Jednym z tych momentów strachu była chwila, w której zauważyłem wśród załogi sowieckiej jednego chłopca – może 2-3 lata starszego ode mnie, pełniącego obowiązki wartownika przy składzie magazynów wojsk sowieckich. Spostrzegłem, że wojsko niemieckie jest w odległości około 100 metrów od tych magazynów, i że Sowieci opuścili już teren, a pozostał jedynie ten jeden chłopiec. Podbiegłem w jego pobliże i zawołałem „udzieraj, bo zbliżają się Germańcy”. On na to wymierzył karabin w moją stronę i wypowiedział „stoj bo budu strielać”. A potem jeszcze „sowiec mnie postawił i tylko sowiec mnie zdejmie”. Wycofałem się. Po chwili usłyszałem strzał i gdy wróciłem wzrokiem w jego kierunku – on już leżał zastrzelony przez żołnierzy niemieckich.

Ogromny żal przeżyłem, gdy dowiedziałem się o tym, że polski oficer, którego moja mamusia gościła wieczorem w dniu 31 sierpnia 1939 roku zginął na granicy w okolicach Glinek za Milewem, podczas potyczki granicznej z Niemcami, jaka miała miejsce w dniach od 1 do 4 września 1939 roku. Fakt ten upamiętnia krzyż katolicki postawiony na skrzyżowaniu dróg Szczuczyn – Lachowo na wysokości drogi do Glinek.

Nie byłem świadkiem, ale z tragicznych rozmów osób starszych dowiedziałem się o rozstrzelaniu przez żandarmerię niemiecką w lesie Żebrowskim rodziny Wasilewskich oraz małżeństwa Młodzianowskich, przy drodze do Radziłowa w Żebdach – Maksyma Jonkajtyśa – kierownika szkoły podstawowej w Szczuczynie, w innym miejscu czteroosobowej rodziny Zygmunta Zabielskiego ze wsi Skaje.

Także przeżyłem tragizm pacyfikacji wsi Świdry-Awissa w czerwcu 1944 roku, gdzie między innymi spalono zabudowania Jana Bendera, a jego samego zamordowano. Ponadto na terenie tej zabudowy Niemcy rozstrzelali siedmiu innych mężczyzn wyciągniętych z ich domów.

Nie zapomniałem także tragicznych relacji osób starszych z deportacji do Niemiec 25 mieszkańców Szczuczyna, w tym osobiście mi znanego pana Jana Grajewskiego – znanego garncarza na ziemi Szczuczynskiej.

I jeszcze raz przeżyłem lęk i strach, gdy dowiedziałem się już po wojnie, że troje osób z tych deportowanych zginęło w Niemczech na robotach przymusowych.

Nie wiem jak to jest, że zapominam gdzie prze chwilą położyłem np. długopis, a nie mogę zapomnieć relacji wspomnianych już osób, i że w sierpniu 1942 roku żandarmi ze Szczuczyna zamordowali w Bzurach 27 młodych dziewcząt, zabranych uprzednio z getta zlokalizowanego przy ulicy Krzywej w Szczuczynie.

Wspominam także mój osobisty udział w przerzucaniu żywności od strony rzeki Księżanki do tego wymienionego getta. Jak twierdzili starsi – dzieciom łatwiej niż starszym było zmylić czujność strażników pilnujących dostępu do getta.

Także z osobami starszymi przeżywałem swój smutek i strach gdy dowiedziałem się o zabraniu 4 osób z Bzur i 8 osób z Niedźwiadnej do obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec. Innym razem w podobnych okolicznościach przeżywałem ze zgrozą deportację 2 osób z Niedźwiadnej i rozstrzelanie 5 mieszkańców z Miernic i 9 mieszkańców z Kędziorowa.

W lipcu 1941 roku w ciągu jednej nocy, będąc biernym obserwatorem życia w mieście, przeżywałem zorganizowany przez okupanta mord około 600 mieszkańców Szczuczyna narodowości żydowskiej. Rano dwa ciała w agonii osobiście widziałem w pobliżu rodzinnego domu. W tym dniu Niemcy rozstrzelali także 5 osób pochodzenia polskiego. Tych 5 osób w dawnym czasie kojarzono ze współpracą z żandarmerią niemiecką w Szczuczynie (w pobliżu Jedwabnego – gdzie też w tym samym czasie dokonano mordu na ludności żydowskiej).

Kolejnym strasliwym przeżyciem w listopadzie 1942 roku było wywiezienie do obozu koncentracyjnego w Boguszach około 1700 osób narodowości żydowskiej.

Wielką tragedią mojego dzieciństwa było bombardowanie Szczuczyna przez sowietów w dniu 12 stycznia 1945 roku, w wyniku którego zostało rannych około 200 osób, wielu straciło życie. Wśród zabitych było wiele znanych mi osobiście osób, między innymi pan Józef Zajkowski, pani Kuczevska, rodzina państwa Chełmińskich, pan Wyluda, pan Sobolewski i pan Kwiatkowski. Wśród rannych było wiele dzieci w moim wieku, między innymi Jadwiga Szczemińska (obecne nazwisko Wierchoś). Bombardowanie to dokonane zostało w porze popołudniowej, gdy przed sklepem mięsnym na Rynku stała duża kolejka klientów.

Od początku stycznia aż do opuszczenia Szczuczyna przez okupanta niemieckiego w dniu 22 stycznia 1945 roku obie armie okupacyjne ostrzeliwały (a Rosjanie także bombardowali) miasto prawie każdego dnia i na pewno każdej nocy.

To był najstrasliwszy miesiąc w moim życiu dziecka. W jednym z bombardowań około godziny 12-tej trzy bomby padły i eksplodowały na polu przydomowym naszego gospodarstwa rolnego. Ja w tym czasie rąbałem drewno na opał. Wcześniej słysząc nadlatujące samoloty, przerwałem pracę i skryłem się w piwnicy znajdującej się pod częścią podłogi w szopie. Gdy po bombardowaniu wyszedłem z ukrycia, zauważyłem na dachu szopy brak dachówek. Resztki tych dachówek leżały między innymi obok pieńka, na którym przed chwilą rąbałem drewno. Zobaczyłem też dwa odłamki bomb, które też leżały obok pieńka. Odłamki były jeszcze gorące, a ziemia pod nimi parowała mimo ogromnego mrozu.

Przeżyłem też nalot bombowy na zespół poklasztorny przy kościele dokonany też w styczniu 1945 roku. Celem tego ataku bombowego była siedziba jednego z generałów niemieckich. W rzeczywistości generał w tym czasie przebywał w innym miejscu. Natomiast w tym czasie ksiądz Wodecki w jednym z pomieszczeń jego mieszkania na plebanii uczył na pamięć ministrantury młodych ministrantów nieumiejących jeszcze czytać. Jednym z nich byłem ja.

Jedna z małych bomb utknęła na podłodze korytarza – ale nie eksplodowała i nie wyrzuciła znaczących szkód materialnych – poza dziurą w suficie i dachu. Ale panicznego strachu wśród nas wszystkich nie brakowało.

Około 15-20 stycznia 1945 roku rodzina nasza opuściła miasto i ukryła się pod lasem w zabudowaniach pani Antoniny Budnej z Niedźwiadnej. Ale ja rano 23 stycznia bez wiedzy rodziców uciekłem i doszedłem pieszo do Szczuczyna nie wiedząc o tym (podobnie jak inni w Niedźwiadnej), że w Szczuczynie są już sowieci.

Na podwórku dostrzegłem sprzęt wojskowy, a następnie kilku żołnierzy sowieckich. Jeden z nich podszedł z karabinem w rękę do mnie i oskarżył, że jestem „szpionem” i chciał mnie rozstrzelać. Gdyby nie interwencja pana Rogińskiego z Kłapic byłbym rozstrzelany. Pan Rogiński wyjaśnił żołnierzowi, kim jestem i on odstąpił od zamiaru dokonania egzekucji. Pan Rogiński z żoną i synem przebywali u nas, uciekając z linii frontu nad Biebrzą z Kłapic.

Rodzina moja wróciła do Szczuczyna dopiero na 2 czy 3 dzień – bo nie wiedziała o tym, że Szczuczyn był już pod kontrolą wojsk bolszewickich.

Tragicznie przeżyłem w czasie okupacji niemieckiej rozstrzelanie Piotra Pawluka za to, że znaleziono, na skutek donosu, w jego domu radio, a także maltretowanie aż do utraty życia drugiego sąsiada Stanisława Wiszowatego przez żandarmerię niemiecką na posterunku w Szczuczynie przy ulicy Szczulki.

Okupacyjne władze hitlerowskie nie pozwalały na otwieranie szkół na terenie powiatu szczuczynskiego i jeszcze w kilku innych powiatach we wschodniej Polsce.

Na wzór nauczania podczas zaborów przed I wojną światową – w okresie okupacji hitlerowskiej – nauczyciele na terenie ziemi szczuczynskiej organizowali komplety tajnego nauczania w małych grupach i w prywatnych mieszkaniach. Ja osobiście nie brałem udziału w grupowym tajnym nauczaniu, bo po prostu naszą rodzinę nie stać było na to, aby nawet w bardzo skromnej formie wynagrodzić nauczyciela.

Trochę próbowała mnie douczać siostra Maryla, ale z bardzo miernym skutkiem. Tak, że w dniu 23 stycznia 1945 roku w wieku prawie 12 lat byłem analfabetą.

W dniu 1 października 1939 roku okupant sowiecki pozwolił na organizację szkoły. Przystąpiono do zapisów i porządkowania budynków, w których do 17 września 1939 roku kwaterowały wojska hitlerowskie. Ale w dniu 10 października 1939 roku szkoła została przekształcona w 10-letnią szkołę średnią, do której mogły uczęszczać tylko dzieci, które ukończyły 8 rok życia. Ja do tej grupy nie należałem.

W pierwszych dniach października 1939 roku, jeszcze przed decyzją o 10-letniej szkole średniej, zapisany zostałem do klasy pierwszej jako pełny 7-latek. Wychowawczynią była pani Panas. Byłem bardzo dumny z tego, że mogłem przez parę dni uczęszczać do szkoły, zwłaszcza, że pani Panas okazywała radość, że mogła uczyć w „prawie” normalnej szkole polskiej. Ale radość moja trwała zaledwie kilka dni. Pewnego dnia pani Panas powiedziała, że decyzją władz nie mogę być uczniem, bo nie ukończyłem 8 roku życia. Zasady tej rygorystycznie przestrzegaly władze okupacyjne. Z tej też przyczyny ze łzami w oczach jeszcze w miesiącu październiku musiałem pożegnać się i rozstać ze szkołą, która funkcjonowała w Szczuczynie do dnia 22 czerwca 1941 roku.

Okres okupacji hitlerowskiej to okres wytężonej pracy fizycznej. Na przykład pracowałem przy suszeniu i segregacji tytoniu. Nadzór nad zatrudnionymi dziećmi i niedołączonymi starcami sprawował zniemczony Polak, który po zakończeniu wojny, napotkany w Szczuczynie na Rynku został dotkliwie obrzucony kamieniami przez byłych młodocianych pracowników i ich rodziców. Nie byłem świadkiem tego wydarzenia, ale wiem o tym z opowiadań kolegów i moich rodziców. Ja w tym czasie jak obrzucano kamieniami tego nadzorcę uczęszczałem do klasy VI szkoły podstawowej w Warszawie.

W czasie robót nie podawano nam żadnych posiłków regeneracyjnych, nawet wody do picia, nie pozwalano nawet na bardzo krótkie przerwy na odpoczynek. Pracowaliśmy we własnej odzieży, co przy suszeniu i segregacji tytoniu i machorki spowodowało to, że odzież ta aż do „szpiku kości” była przesiąknięta oparami i tłustościami tytoniu. Ale z tego mam jedyną korzyść. Czuję do dnia dzisiejszego wstręt do papierosów. Nigdy ich nie paliłem i nie palę.

Pracę wykonywałem bez żadnego wynagrodzenia. Jedynym wyjątkiem było to, że w czasie suszenia tytoniu – raz w tygodniu w sobotę – otrzymywaliśmy datek w kwocie 7 marek, wystarczający na zakup kilku szklaneczek wody sodowej sprzedawanej w kiosku pana Kudrawca przy ulicy Rynek. Datek ten nadzorca traktował jako coś w rodzaju wynagrodzenia za pracę, ale my – robotnicy młodociani i starcy (bo tacy też przymusowo pracowali przy tytoniu i machorce) nazywaliśmy te 7 marek jałmużną.

Dzieci i starcy w latach 1943 i 1944 przymusowo musieli pracować w suszarni tytoniu i pomieszczeniach na posesji dawnego młyna przy ulicy Pawełka, a w okresie zimowym w pomieszczeniach nie ogrzewanych w budynku przy ulicy Rynek, w którym obecnie funkcjonuje gimnazjum, przewidziane do wygaszania swej działalności.

W jesieni i na wiosnę zatrudniano nas także bez żadnego nawet „datku” przy sadzeniu między innymi lasu tzw. „sianej choinki” pod Wąsoczem i Milewem koło Niećkowa.

W latach 1940/41, zamiast uczęszczenia do klasy i szkoły podstawowej, musiałem pracować, także bezpłatnie, przy budowie schronów, a konkretnie schronu przed laskiem w Obrytkach – tuż przy drodze, dziś krajowej nr 61, na trasie Szczuczyn – Łomża i przy nie istniejących już torach kolejki wąskotorowej Osowiec-Myszyniec, którą transportowano urobek drewna z Puszczy Myszynieckiej do stacji przeładunkowej w Osowcu na wagony normalnotorowe.

W tym samym mniej więcej czasie dzieciarnia, ja też, ale już bez starców była zatrudniana przy zbieraniu kamieni z pól i przyzmowaniu ich wzdłuż dzisiejszej drogi krajowej nr 61 na trasie Łomża – Szczuczyn.

W okresie zimowym kamienie te tłukliśmy na drobniejsze części młotkami specjalnie przeznaczonymi do tego celu. Siedząc na jakimś pniaku, a na drugim pniaku, ale najczęściej na płaskim kamieniu, kładło się kamień przytrzymując go obiema piętami nóg, zabezpieczonymi odcinkami zniszczonych opon samochodowych. Dzięki takiemu zabezpieczeniu nikt z nas nie okaleczył się przy władaniu młotkiem podczas tłuczenia kamieni.

---

Urobek z rozbicia kamieni musiał być przez nas sprzymowany i oceniony pod względem ilościowym przez nadzorcę robót. Była obowiązkowa norma ilościowa, jaką w ciągu dnia roboczego trzeba było wykonać.

Tłuczeń ten wykorzystywany był do odbudowy nawierzchni drogi Szczuczyn – Łomża, zniszczonej podczas przemarszu czołgów i samochodów niemieckich w pierwszych dniach września 1939 roku z kierunku Prostki i Biała-Piska w rejon Wizny koło Łomży, gdzie toczono znaną z historii bitwę. Tłucznią tego używano też do budowy schronu w Obrytkach.

Pogodziłem się z tym, że nie mogłem kontynuować nauki w szkole i gdy zaraz po 23 stycznia 1945 roku, przystąpiono do organizacji szkolnictwa, ja w ogóle nie miałem ani chęci, ani zamiaru iść do szkoły, bo bałem się przeżywać raz jeszcze jej rozstania (niepewność jutra), jak to działo się w październiku 1939 roku podczas okupacji sowieckiej.

Dopiero w końcu kwietnia 1945 roku przy namowie rodziców zapisałem się do szkoły.

Dyplom ukończenia studiów wyższych uzyskałem w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie w roku 1967 uzyskując tytuł magistra ekonomii w zakresie rachunkowości i finansów.